

Od religii chrześcijańskiej oczekujemy, że przyniesie nam pocieszenie i nadzieję. Obiecali nam to jej założyciele: Duch Święty i św. Paweł, oraz krzewiciele: św. Augustyn, św. Tomasz z Akwinu, Tomasz À Kempis i wielu innych. O pocieszeniu, jakie daje religia, mówili nawet jej krytycy – ci umiarkowani, jak Pascal, i ci radykalni, jak Feuerbach i Russell. Wiara w życie wieczne i sprawiedliwy osąd po śmierci ma nam przynieść nadzieję na zadośćuczynienie za krzywdy doznane w życiu doczesnym i uwolnić nas od lęku przed śmiercią – lęku, w którym Bertrand Russell – choć nie on jeden – upatrywał głównej przyczyny powstania i trwania religii.



Religia trwa. Słabsza niż kiedyś, wciąż jednak bardziej wpływowa niż inne systemy światopoglądowe. Trwa mimo problemów, jakie rodzi i mimo poważnych wątpliwości, jakie budzą jej najważniejsze twierdzenia. Czy oznacza to, że spełniła złożone niegdyś obietnice i spełnia je w dalszym ciągu? Kto wie? Czegóż bowiem mieliby się obawiać ci, którzy wierzą w „Ojca Miłosierdzia i Boga wszelkiej pociechy” (2 Kor. 1:3-4) lub ci, którzy ufają, że Bóg Ojciec ich umiłował i nie wątpią, że po śmierci czeka ich „wiekuiste szczęście”. Jeśli wierzą naprawdę, czy mogą się lękać spotkania ze Stwórcą?

Odpowiedzi na te pytania moglibyśmy uznać oczywiste, gdyby nie to, że całe niemal doświadczenie ludzkości wskazuje, iż odpowiedzi oczywiste nie istnieją. Dlatego powstały i istnieją takie nauki o człowieku, jak psychologia i socjologia, i dlatego badacze z obu tych dyscyplin nie rozwiązują problemów w drodze dedukcji, lecz badań empirycznych. Stawiają pytania badawcze, formułują hipotezy, po czym, stosując mniej lub bardziej wyrafinowane procedury, hipotezy te potwierdzają lub odrzucają¹.

Badania psychologiczne na temat pocieszenia, jakie niesie wiara w Boga, a mówiąc bardziej technicznie, na temat związku pomiędzy religijnością i lękiem przed śmiercią prowadzone są od kilkadziesiąt lat. Ich wyniki, w większości do siebie zbliżone, uznać można za zaskakujące. Okazuje się bowiem, że bez względu na to, czy badane były kobiety czy mężczyźni, ludzie młodzi czy starzy, Litwini czy Amerykanie, zdecydowana większość ludzi wierzących odczuwa silny lęk przed śmiercią, nie odczuwa zaś obiecaną nadziei i pocieszenia. Oczywiście istnieją pewne szczegółowe różnice między tymi grupami: śmierci na przykład bardziej boją się ludzie młodzi niż starzy; mężczyźni bardziej się lękają „nieistnienia”, a kobiety „umierania i związanych z nim cierpień fizycznych”; ogółem jednak śmierci boją się prawie wszyscy.

Nie wszyscy jednak. Istnieje niewielka, kilkuprocentowa zaledwie grupa ludzi wierzących, najczęściej starszych kobiet, u których lęk przed śmiercią jest wyraźnie słabszy, a niekiedy tak słaby, że nieuchwytny dla osób badanych, które zaprzeczają jego istnieniu. „Jeśli wiara religijna jest tak głęboka, że nadaje życiu sens i kierunek, pomaga nam sobie radzić w życiu i redukuje lęk przed śmiercią,” – stwierdziła autorka programu badawczego, Monika Ardent z uniwersytetu stanu Floryda. „Jeśli zaś chodzimy do kościoła raz w tygodniu, posiedzimy tam godzinę, a po wyjściu natychmiast zapominamy, o czym była mowa, nie skorzystamy wiele.”

Wiara religijna przynosi pociechę tylko nielicznym. Czy mamy za to winić jej wyznawców, którzy wierzą zbyt słabo i traktują swoją wiarę zbyt instrumentalnie, czy też samą religię, której obraz świata i życia, tego doczesnego i tego wiecznego, coraz mniej przystaje do obrazu świata i sposobu myślenia współczesnych ludzi. Czy wiara autentyczna i głęboka, poza bardzo wąskim kręgiem osób o szczególnych predyspozycjach, jest jeszcze w ogóle możliwa? A jeśli nie, to czy skazani jesteśmy na rozpacz i poczucie bezsensu? Czy nadzieja i pocieszenie możliwe są poza religią?

Wstępną odpowiedź na to pytanie przyniosły badania A.M. Downey'a z 1984 roku, w których poza ludźmi religijnymi uwzględniono także grupę osób zdecydowanie niewierzących, „których ateizm był na tyle dojrzały i głęboki, że w dużej mierze wyznaczał cel ich życia”². Okazało się, że odczuwany przez osoby z tej grupy poziom lęku przed śmiercią był równie niski, jak w przypadku osób głęboko wierzących. A przecież nie mogą one mieć nadziei na życie wieczne, na boskie miłosierdzie, ani na nagrodę po śmierci. Mają jednak mieć poczucie sensu życia, co – jak twierdzi cytowana wcześniej M. Ardent – „paradoksalnie sprawia, że łatwiej im przychodzi z życiem się rozstać”.

Skąd zdeklarowani ateiści czerpią poczucie sensu życia?

Dlaczego jest im łatwiej umierać? Odpowiedzi na te pytania wymykają się metodom współczesnej psychologii; skazani jesteśmy na hipotezy i domysły. Sprawa wydaje się jednak na tyle ważna, że mając w pamięci niepewny ich status, warto rozważaniom na ten temat poświęcić kilka stron rozważań.

1) Wbrew nazwie, ateści odrzucają nie tylko Boga. Równie krytycznie odnoszą się do tych treści kultury, dominującego obrazu świata i systemów wartości, które ukształtowały się pod wpływem doktryn religijnych i politycznych kościołów. Tworząc własny obraz świata i poszukując sensu życia nie w zaświatach, lecz wśród ludzi, bliskich i dalekich, niewierzący rozwijają w sobie rodzaj gatunkowej empatii, usuwając w pewnej mierze z pola widzenia swoje własne „ja”, wraz z jego kruchością i skończonością. Przysięgli ateści, dla których wybory społeczne, moralne i intelektualne związane z wiarą lub jej brakiem, są ważne, stają się humanistami – ideowo i emocjonalnie. Z jednej strony są przez to mniej obojętni na cierpienia innych, z odległych nawet lądów, z drugiej – czerpią autentyczną satysfakcję, jeśli potrafią się przyczynić do pomnożenia ludzkiego dobra i szczęścia. Satysfakcję i pocieszenie. Łatwiej jest umierać, jeśli naprawdę potrafimy się cieszyć szczęściem innych ludzi, zwłaszcza, jeśli się do ich szczęścia przyczyniliśmy lub zrobiliśmy, co mogliśmy, żeby się przyczynić.

Ideowych ateistów z tej grupy nie należy mylić z fanatykami, którzy czynią siebie środkiem dla urzeczywistnienia idei, najczęściej, choć nie zawsze, religijnych lub nacjonalistycznych. Ich pozorna „radkaalna ideowość” jest w rzeczywistości maską dla osobistych problemów oraz dla nienawiści, która rozwinęła się na ich bazie, i którą można uznać za przeciwieństwo tego, co nazwałem wyżej „gatunkową empatią”. U fanatyków lęk przed śmiercią zamienia się w obsesyjne dążenie do śmierci, własnej i cudzej, a idea, w imieniu której śmierć zadają, jest zwykle tylko pretekstem, choć owładnięty nienawiścią fanatyczny obrońca lub krzewiciel

idei może nie zdawać sobie z tego sprawy.

2) Osoby o zdecydowanych przekonaniach, tak religijnych, jak ateistycznych, mniej się boją śmierci, gdyż mają głębsze i bardziej satysfakcjonujące relacje z innymi ludźmi. Wszak przyjaźnie, w odróżnieniu od miłości erotycznej, rodzą się i istnieją dzięki wspólnocie zainteresowań i wartości, a we współczesnej psychologii coraz częściej właśnie związki przyjacielskie uważa się za główny warunek równowagi psychicznej, a więc i niskiego poziomu lęku.

3) Ateiści to ludzie odważni. Nie tylko odwagą wrodzoną lub wyniesioną z domu rodzinnego. W świecie, w którym pozycja religii jest dominująca (jak np. w Polsce lub w USA), jawny ateizm jest również formą autoterapii, rozwoju osobistego w sferze odwagi. Staje się przez to źródłem siły, która zwiększa tolerancję na ból i lęk we wszystkich ich postaciach. Odwaga nie likwiduje lęku, lecz sprawia, że przestaje on być źródłem cierpienia. Przestaje także decydować o naszych czynach i treściach naszych myśli. Pozostaje trudnym do rozpoznania stanem psychologicznym i fizjologicznym, a świadomość skutecznego uwolnienia się od lęku może być dodatkowym źródłem siły i poczucia godności osobistej.

Choć każde z powyższych wyjaśnień wydaje się w jakiejś mierze prawdziwe, choć nie można całkiem wykluczyć, że postulowany związek wcale nie istnieje, a błędne wrażenie bierze się stąd, że osoby deklarujące wysoki stopień pewności, co do wyznawanych przekonań, są jednocześnie pewne siebie pod każdym względem, a więc charakteryzuje je ogólnie niski poziom lęku – również lęku przed śmiercią.

Tak czy inaczej odkrycie Downey'a nie pozostawia wątpliwości, co do jednego. Pocieszenie jest możliwe bez religii i obietnicy pocieszenia po śmierci. Pocieszenie czerpać możemy także z filozofii, pod warunkiem jednak, że filozofowania nie będziemy traktować jako kariery zawodowej, lecz raczej – jak za czasów Epikura, Boecjusza, Voltaire'a i Marksa – jako drogę

życiową, powołanie i przydatne narzędzie do poprawiania świata.

W europejskim kręgu cywilizacyjnym wpływ religii na sposób myślenia, na zachowanie i wybory dokonywane przez ludzi będzie coraz słabszy. Postęp w nauce i technice, rozwój kultury demokratycznej i poprawa poziomu życia sprawiają, że stopniowo zmniejsza się zakorzenione w tradycji i poczuciu gatunkowej bezradności zapotrzebowanie na religijne mity. Tym bardziej, że ich treść nie wytrzymuje konfrontacji z obrazem świata kształtowanym w oparciu o zdobycze nauki i panującą pragmatyczną racjonalność. Odczarowujemy świat zewnętrzny i nasze życie wewnętrzne – jak dotąd jednak w miejsce ustępującej tajemnicy nie wkracza, lub też wkracza zbyt rzadko, racjonalny, „oświeceniowy” światopogląd i system wartości. W świecie, w którym żyjemy, brak jest po temu dostatecznych zachęt, tak w kulturze masowej, jak szkolnictwie, również wyższym, które często traktuje się jak przysposobienie zawodowe.

W filozofii nie upatrujemy źródła pocieszenia i sensu życia. Większość polskich filozofów odmawia poważnego namysłu na ten temat, bardziej bowiem niż na szczęściu własnym i innych zależy im na prestiżu. Najwyższą wartością w światku akademickich „miłośników mądrości” zdaje się być „naukowa powaga”, którą pojmuje się jako przeciwieństwo wszelkiej oryginalności i praktyczności. Myślenie prawdziwe: twórcze, niepokorne i zaangażowane, pozostawia się obcokrajowcom, a problemy praktyczne – kolegom i koleżankom z mniej „arystokratycznych” wydziałów. Uprawianie „filozofii życia codziennego” uchodzi za rzecz wstydliwą, a tzw. terapia filozoficzna, coraz bardziej popularna w Europie Zachodniej i w USA – w Polsce nie istnieje. Chroniąc swój akademicki status i unikając ważnych problemów egzystencjalnych, filozofowie stawiają pod znakiem zapytania sens istnienia swojej dyscypliny, która nauką nie jest i być nie może, mogłaby natomiast, gdyby chciała, być domeną merytorycznie

nacechowanych rozważań nad ważnymi, empirycznie nierozstrzygalnymi kwestiami, jakie od stuleci trapią ludzi, świadomych swoich ograniczeń i swojej śmiertelności, niepewnych zaś sensu swojego życia oraz gatunkowych i jednostkowych możliwości.

1 Przynajmniej do czasu, gdy nowe wyniki badań lub nowe interpretacje starych wyników, rodzą potrzebę postawienia nowych pytań i hipotez oraz podjęcia nowych badań.

2 Downey, A.M. *Relationship of religiosity to death anxiety of middle-aged males*, "Psychological Reports", 54, s. 811-822.

[Artykuł pochodzi ze strony humanizm.net.pl](http://humanizm.net.pl)